



## Elżbieta Pierzchalska

Sygnatura notacji: **N1093**

Data nagrania: **27.01.2018 r.**

Miejsce nagrania: **szkoła polska, Minneapolis, Stany Zjednoczone**

Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**

Czas nagrania: **24 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Elżbieta Pierzchalska. Pochodzę z Radomia. I tak jak mąż wcześniej mówił, ja może powiem z mojej strony. Pamiętam dzień, kiedy był on aresztowany, bo wtedy przypadało Trzech Króli i razem poszliśmy do kościoła Fary, w Radomiu i później po mszy... Na mszę mąż miał przyjść. Jakoś tak przeczuwałam, że coś jest nie tak, bo w czasie mszy nie było męża. I oczywiście po kościele, po mszy sama musiałam wrócić do domu i... To oczywiście był styczeń, bardzo zimno. Wróciłam do domu już, po drodze oczywiście jak to kobieta, zapłakana, spodziewając się, wyczuwając, że coś jest nie tak, dlaczego on nie przyszedł do kościoła. I ja wiem? Może zeszło jakieś, nie wiem, może godzinę – przyszło chyba dwóch czy trzech mundurowców i pytali się oczywiście, gdzie mąż i tak dalej. No i tak jak teraz, mówię, że miał przyjść, a... No i oczywiście, mówią: „Może pani wyjdzie z nami?”. Nie wiem, czy oni wiedzieli coś o tej maszynie do pisania, co mąż wspominał. No i po... Weszli do letniej kuchni i za letnią kuchnią była taka komórka tam, na drzewo, węgiel, no i tam sprawdzali. Jeszcze pamiętam fakt: ja miałam tylko sweter założony na siebie. Oczywiście, no ze strachu, z zimna zaczęłam się trząść. On: „O! Pani chyba coś wie. Czemu się pani tak trzęsie?”. Ja mówię: „Bo mi bardzo zimno jest”. „No, no tak, no to pójdziemy do domu”. No i to właśnie wtedy w domu powiedzieli, że mąż jest aresztowany, został aresztowany. „A co dalej, to pani się dowie na posterunku jutro”. No, noc była nieprzespana oczywiście. Mieliśmy wtedy... Córka miała rok i siedem miesięcy. Na drugi dzień poszłam na komisariat. „No, my nic nie wiemy, dowie się pani później”. No stopniowo, stopniowo, dowiedzieliśmy się, że jest aresztowany. Dokładnie, że tam ulotki były, ale... I jak tak dalej, co tego. No i z mamą moją zaczęliśmy właśnie bardziej się też – adwokata może, coś. I pamiętam, wtedy też poszłam do siostry do pracy i mówię jej... I siostra знаła właśnie, tak jak mąż wspominał, kolegę miała ze szkoły, który był głównym tam kucharzem, żeby chociaż jakieś czekoladę czy papierosy. No on powiedział, że no niestety, oni traktowani są jako najgorsi kryminaliści, a ja nie mogę stracić swojej pracy, żeby

mu pomóc. No i tak jak pan pytał, jak ze strony... No, pierwsze widzenie z mężem to miałam – oczywiście, musiałam najpierw wypełnić papiery, pozwolenie z sądu. To była wizyta przez telefon. A druga wizyta to była z córką. Też oczywiście musiał sąd wydać pozwolenie. No i tak jak mąż wspominał, że ja byłam... Poszliśmy wtedy jeszcze... O! I teściowa była ze mną. No to przychodziły, bo to była duża sala, taka poczekalnia jakby, zamknięci byliśmy. No i ktoś przyszedł za nami i już: „Do widzenia”, a my od początku... W końcu, no dziecko głodne, było to już chyba pięć czy sześć godzin, dziecko głodne i czy to do ubikacji chciało, czy coś. No to ja się już odezwałam do tego, co otwierał drzwi, mówię, że już tu jestem od początku, od rana i, i kiedy... „No, proszę czekać! Proszę czekać!”. No wreszcie żeśmy dostali tę – widzenie. No, ale paczki, jak organizowanie paczek, to też przez miesiąc czasu nie, dopiero, pamiętam, mama dowiedziała się, że w kościele można... No poszłam sama. No jak mąż wspominał, że była, pamiętam, kolejka w kaplicy przy kościele Farnym, ale to byli ludzie, którzy, tak zwani spekulanci. Oni brali... Co mocniejsi, kto silniejszy, ten pierwszy, a później sprzedawali te rzeczy na targu. Czy to mąka była, czy cukier, czy ubrania. Ja pamiętam, mnie tak popchali, że ja pamiętam, przyszłam do domu splotkana i powiedziałam do mamy, że, mówię: „Ja więcej tam nie pójdę. Ja mogę mieć chleb z wodą i z, cukrem posypany, i moje dziecko będzie, a nie pójdę po paczkę, trudno. Mąż jakoś sobie musi dać radę w tym więzieniu”. No, ale mama uparła się i poszła wtedy, porozmawiała z siostrą zakonną, no i wtedy, nie powiem, bo siostra nas poprowadziła do specjalnej tam piwnicy jakiejś, no i wtedy pierwszy raz zorganizowaliśmy paczkę. I pamiętam, zaniósłam tę paczkę pod więzienie. No jakies tam cieplejsze ubranie, podkoszulkę czy jakies tam spodnie, czy, pamiętam, czekolada, wtedy – ale czy on to dostał? To chyba nie, bo później następną była wizyta, no to mówi, że nic takiego nie dostał. Kto tę paczkę dostał, wziął...

A proszę powiedzieć, czy widzenia odbywały się w obecności funkcjonariuszy milicji, czy straży więziennej. Czy byliście sami, czy te rozmowy były pod nadzorem?

Nie pamiętam konkretnie...

Na telefon.

No, na telefon była pierwsza wizyta, ale już później, z Emilką jak byliśmy, to pamiętam, że był wielki stół, no i jak to... Ale dokładnie, czy ktoś stał przy drzwiach...

[Zawsze stali.]

Na pewno, na pewno ktoś stał.

A proszę powiedzieć, jak pani zapamiętała wprowadzenie stanu wojennego.

Jak ja zapamiętałam stan wojenny? No pamiętam, na drugi dzień żeśmy poszli na ulicę Żeromskiego. To było trochę strach. Strach było iść, bo było dosłownie tak jakby martwe miasto, tylko policji... Wojsko, wszędzie wojsko i wszędzie wojsko. No żeśmy, pamiętam, pierwszy – mąż tego nie wspominał – pamiętam pierwsze dwa tygodnie, to spał w ubraniu, bo w każdej chwili byliśmy przygotowani, że może trzeba będzie uciekać. Bo mieliśmy... Znał kolegę,

niedaleko koło nas mieszkał, no to właśnie, jak nawet wspomniał, on był internowany. No to do niego, nie pamiętam, na który dzień po ogłoszeniu stanu wojennego, no to walili drzwiami i... w drzwi i zabrali jego od dzieci. Był strach, no ale później, jak już wiedzieliśmy, że, ten pierwszy tydzień przeszedł i nie został internowany, no to już jakoś się uspokoiliśmy z tym. No, a później to było to aresztowanie, znaczy, ta sprawa sądowa. No tak jak pan pytał męża, czy był jakiś kontakt z rodziną. Pamiętam, już w sądzie, jak czekaliśmy pod salą rozpraw i oni szli, no to był, nam nie wolno było – pamiętam, jedynie to ręką żeśmy się mogli dotknąć, ale nam nie było wolno się porozumieć, bo po obu stronach stał, stało policja czy wojsko – no, panowie w mundurach.

Pani była na sali rozpraw...

O, tak.

Jak ludzie reagowali? Czy pamięta pani jakieś szczególne zachowania osób, które były...

No, raczej, powiem szczerze, że dokładnie, teraz po tylu latach, to już się tego nie pamiętam. No wiem, że przeważnie to była rodzina. No każdy był zaskoczony, bo były pogłosy, że mogą wysłać i do, na Sybir – to bardzo często powtarzali. No, a później, tak jak mąż mówił, że tą sprawą zajął się znany, pan Siła-Nowicki. I każdy miał adwokatów, no jakoś to... No, ale był strach, bo zarówno tak jak my byliśmy młodym małżeństwem, także inni też byli młodzi ludzie, i był strach, bo nie było wiadomo, co właściwie, jaka nas przyszłość czeka.

Jak już usłyszała pani wyrok, jak pani zareagowała?

No oczywiście się cieszyłam, cieszyłam się z tego, że będzie w domu, bo mówili, że – mąż tego nie wspominał: najpierw, że tak, no możecie, może pan wrócić do pracy i pracować, tak jak normalny człowiek. Ale to nie było jak normalnie, bo takie właśnie się zdarzały aresztowania i te aresztowania to były kilka razy. Pracował wtedy z takim panem, który mieszkał kilka ulic od nas, więc ten sąsiad, wracając, zawsze informował mnie: „O! Musi pani iść do komisariatu, bo dzisiaj Mariana znowu zamknęli”. No to oczywiście znowu z płaczem na komisariat. „O, my nic nie wiemy. Dowie się pani, jak pani dostanie jakieś tam zawiadomienie w sądzie”. I tak było kilka razy.

Czyli to było takie życie w ciągłym jakby zagrożeniu, tak? W niepewności.

Tak. Jak tylko jakaś była – czy to w lipcu, czy w sierpniu, jakieś tam rocznice, czy już tam ogłaszali, że „Solidarność” miała tam jakieś strajki czy rocznica jakichś tam wydarzeń „Solidarności” jeszcze, to już, parę dni wcześniej już było aresztowanie, no i później za parę godzin – no, idzie ulicą, no idzie. No to już był spokój. I później znowu za tydzień, dwa i znowu – tak to było takie psychiczne bardzo, nerwowe.

Proszę powiedzieć, czy... No bo wobec pani męża tak, ale czy wobec pani były jakieś groźby ze strony służb bezpieczeństwa czy milicji?

No, nie było. Nie powiem, bo mi nie grozili. No, pamiętam ten dzień jak, właśnie jak wspominałam, że przyszli zaraz tylko, powiedzieli, że jest aresztowany i pytali się, czy wiem coś o jakiejś tam maszynie. Ja mówię: „Nie wiem, nie wiem nic o żadnej maszynie”. Prawdę powiedziawszy, to ja wtedy też nie wiedziałam o tej maszynie, tylko szwagier mój to wiedział. No i oni, jak ci panowie w mundurach weszli, poczekaliśmy, pamiętam, kilka godzin i szwagier przyszedł i w połowie nocy żeśmy na polu, wzięli i wtedy wiedziałam, że ta jest maszyna, bo może bym inaczej reagowała, jakbym to konkretnie wiedziała, gdzie jest ta maszyna schowana. Oczywiście, że później, jak wyszedł z więzienia, no to byłam zła na to, bo mówię: „Byś wciągnął całą rodzinę, nas”, no ale to już było po fakcie. No czy były represje? Nie, raczej nie, tylko że jak już później załatwialiśmy wyjazd, już wiedzieliśmy – w ambasadzie, obydwójce i ten paszport, no to on miał właśnie taką wizytę z SB i ten oficer powiedział, że: „Pan może pojechać, ale żona musi zostać, bo musi zapłacić za studia”. A mąż mówi: „No jak to? Przecież studia są za darmo”. „O, niby za darmo, to trzeba zapłacić 153 tysiące – pamiętam – polskich złotych”. W tych czasach była bardzo duża suma. „Albo musi tu zostać w Polsce i minimum pracować trzy lata”. Ale mąż mówi: „No tak, ale żona nie obroniła jeszcze tej pracy magisterskiej”. „O! No to w takim razie może jechać”. Bo jakbym obroniła pracę magisterską, no to już oczywiście nie mogłabym wyjechać. No, a tak nie było takich utrudnień, no z tym że dostaliśmy paszport, oczywiście polski i z pieczęcią: jednorazowe przekroczenie granicy. Tak że to było bardzo ciężkie, bo nie wiedzieliśmy, czy będziemy jeszcze w przyszłości mogli wrócić na swoje strony i zobaczyć swoją rodzinę. W 2014 roku wzięliśmy naszą młodszą córkę z jej mężem i naszym pierwszym wnuczkiem, i pojechaliśmy pierwszy raz do... Przepraszam, muszę... Mnie jakoś tak pamięć działa. I wtedy pojechaliśmy do Muzeum „Solidarności” w Gdańsku, i córka bardzo była wzruszona. Mówi: „Mama, ty nigdy to nam nie opowiadałaś, że tak było w sklepach, na kartki, na to...”. Ja mówię: „No cóż, są pewne rzeczy, że byście nawet może wy nie zrozumieli tego”. No ale była bardzo zadowolona, że żeśmy im to pokazali. Nie mogła uwierzyć, że takie rzeczy były, że coś takiego mogło się zdarzyć. No były ciężkie czasy i tak jak wspomnieliśmy wcześniej, siedemdziesiąty szósty rok w Radomiu, Polska wtedy... Pamiętam ten rok, dlatego że ja wtedy też skończyłam liceum i zdawałam na studia, i bardzo żeśmy się bali, że z Radomia nas obleją wszystkich ubiegających się na studia. Ja zdawałam wtedy do Lublina na geografę. No bo nazywali nas wszystkich, ludzi z Radomia, warchołami. O! Czemu Radom się, o co się upomina? Ale później, miesiąc po, pamiętam, w sierpniu chyba, pojechałam do Wrocławia, no i rodzina z Wrocławia mówi: czemu... „Co się tam działo?”. No, ale najprostsza sprawa. U nas na przykład, w Radomiu, po żywność, po słodycze, po, nawet i po mięso czy coś takiego, trzeba było w kolejkach stać, zapisywać się. Lista była. Trzeba było się zapisać na listę, dyżury mieć codziennie i pilnować tej listy. I coś się dostało, no takie ochłapy, nie? A na przykład we Wrocławiu ludzie postali dwie godziny i, no dostali, no, co chcieli, to mogli kupić, tak że oni się nie mogli upominać. W Radomiu, z tego co nawet, z opowiadań, później opowiadali, to jak ludzie ruszyli, zaczęli... Był, pamiętam, był sklep, w którym mogli kupować policjanci i żołnierze, specjalny był, no to tam wszystko było. No i ludzie jak to zobaczyli, no to mówią: „Co to za różnica? Jak to jest, że policjanci i żołnierze mogą sobie kupić, co chcą, a my pracownicy, musimy walczyć o kawałek chleba” czy coś. No, a później jeszcze się te sprawy tam przed urzędem prezydenta w Radomiu – że tam podobnie ludzie się dopominali coś, później zastrzelili tego, no to...

Ale tego pani nie widziała.

Ja osobiście tego nie widziałam. Pamiętam, jak wróciłam po, to było już po dwóch-trzech dniach, to, to było... My mieszkaliśmy blisko takiego placu targowego – do tej pory jest, tylko że teraz już są budynki, hale targowe. Tam wtedy

był duży plac. No to stały te wielkie popalone samochody, duże te, ciężarowe, to wszystko to stało długi, długi czas.

Mówiliśmy też o tym, że to takie ciężkie czasy. Jakby pani mogła opowiedzieć, jak wyglądało życie w PRL-u, szczególnie to życie takie codzienne. Szczególnie wtedy, kiedy trzeba wychować dzieci, kiedy – czy dziecko – kiedy jest niedobór towarów. Jak pani sobie radziła?

No, było, było ciężko, bo, no weźmy podstawowe rzeczy, nawet ubranka dla małego dziecka. Pamiętam, jak tylko się poszło, bo przeważnie wtedy sklepy były w mieście, nie tak jak teraz, na obrzeżach miasta, że mają tam sklepy. Jak gdzieś, coś, jakiś był towar, no to już kolejka, no to już się stało godzinami, czekało, bo, bo tam przywieźli pieluchy, bo tam przywieźli jakieś ubranka, bo tam przywieźli jakieś... Dzieci... Mąż, na przykład, był honorowym dawcą krwi i żeby córka miała jakąś czekoladkę czy słodycze, no to co miesiąc czy co dwa miesiące szedł na Czerwony Krzyż, oddawał krew, dostawał tabliczkę czekolady. Bo wszystko było na kartki: alkohol, cukier, mąka, wędlina – wszystko było wtedy na kartki. I nawet jak było na kartki, to trzeba, tak jak wspominałam, zapisywać się na listę i pilnować tej listy, żeby ktoś niepożądany się wpisał i w kolejce trzeba było stać. I to też nie był towar taki, jak człowiek chciał. Przeważnie, pamiętam, była zwyczajna kiełbasa, no ale to co było, co przywieźli, to się kupowało. Nie było tak jak, tak jak teraz. Każdy, pamiętam, wtedy mówił, że: „O! Lepiej jakby było drożej, ale żeby było, to każdy sobie by kupił po dziesięć-piętnaście deko i by miał”. No, ludzie się...

A jak nie było towarów takiej pierwszej potrzeby, to w jaki sposób można było sobie poradzić, żeby je zdobyć? I nie było kartek.

Na czarnym rynku. Właśnie, tak jak wspominałam, spekulanci, którzy mieli jakieś tam, nie wiem, jakimiś sposobami oni się dowiadawali, to można było iść na targ i jak ktoś potrzebował jakąś tam wędlinę czy cukier, przeważnie, czy mąkę, czy nawet i sól kupić, no to musiał płacić, oczywiście po większych cenach i jakoś to dostał. No, ludzie zawsze musieli sobie jakoś radzić, żeby żyć, no ale nie było to tak, jak jest przynajmniej nawet i teraz. Teraz ludzie narzekają, no ale... Niektórzy mówią: Ale przynajmniej jest. Potrzebuję pięć deko, to kupię sobie pięć deko. Pół kilograma, to pół kilograma. No ale kiedyś tego nie było, był tylko jak to, popularny ocet, na półkach, żeby te półki jakoś zapełnić. Tyle, co ja mogę powiedzieć, no. Teraz, tak jak mąż wspominał, była bardzo ciężka decyzja. My nawet mieliśmy propozycję, żeby zostawić naszą córkę. Siostra i szwagier mówi: „Zostawcie tutaj, my ją...”. „Nie, ale jak już – mówię – wyjeżdżamy, to już wyjeżdżamy wszyscy razem”. I wtedy żeśmy wyjechali, i tak jak mówię, człowiek nie wiedział, czy wróci. W osiemdziesiątym dziewiątym roku, po sześciu latach, żeśmy pierwszy raz wrócili do Polski, no i jak wspominał wcześniej mąż – on przyleciał tutaj do Polski na paszport amerykański, ale była wtedy opłata siedem dolarów za dzień. No więc to była kupa pieniędzy. No ja przyjechałam... poleciałam do Polski na paszporcie konsularnym, z dziećmi, to jeszcze w ten sposób mogliśmy... Ale też wtedy zaznaczyli, że gdzie tylko pojedziemy do jakiego miasta, to musimy się notować na komisariacie...

[Rejestrować.]

Rejestrować. No. Nie rejestrowaliśmy się, nie. Dziękuję.

[00:24:57 KONIEC NAGRANIA]